

Paulina Pietrzak

Liceum Ogólnokształcące Numer 2  
im. Kazimierza Jagiellończyka  
Ul. Królewiecka 42  
82-300 Elbląg

BOHATEROWIE LUDZKICH SERC  
-  
RATOWANIE DZIECI W DOBIE  
HOLOCAUSTU

Autor pracy:  
Paulina Pietrzak

Elbląg, 14 lutego 2008

## BOHATEROWIE LUDZKICH SERC-RATOWANIE DZIECI W DOBIE HOLOCAUSTU

Jest piąta rano, siedzę w autobusie wyrwana z ferworu fantastycznej zabawy. W głowie miota mi się na przemian złość, że opuściłam huczne, wiejskie poprawiny wesela siostry wraz z radością, że mogę jechać z klasą do Warszawy. Tak, to właśnie my zostaliśmy wybrani i jedziemy na rozdanie orderów „Sprawiedliwi wśród narodów świata”. Będzie grupa starszków i Pan Prezydent, ale podobno oprawa artystyczna ma być fascynująca, więc mam nadzieję, że będzie warto. Mniej więcej 10 minut później wsiada do autobusu starsza Pani elegancko ubrana, otoczona rodziną. Wygląda jak typowa babcia z obrazka: siwe włoski na głowie, długa spódnica, sweterek na guziczki, lśniąca dobrocią oczy, twarz wskazująca na długoletnie zdobywanie mądrości życiowych i kochające wnuki dookoła. Słodki widok. Jesteśmy na miejscu. Teatr Wielki udekorowany nastrojowo, młode dziewczyny opiekujące się zasłużonymi starszuskami mają symboliczne znaczenie. Wchodzi Pan Prezydent i zaczyna się bezpłciowe czytanie nazwisk, jednak w tle opowieści ich życia.. Ukazanie miłości, dobroci serca i współczucia w królestwie mordów, terroru i nienawiści. Sympatyczny staruszek w okularach poznał żonę w Auschwitz, uratował, pobrali się na przekór Hitlerowi. Pani o oczach jak węgielki, która jako dziecko nie rozumiała, dlaczego przyjaciółka ze szkolnej ławki nie może się z Nią nadal bawić lalkami. Siostra zakonna na wózku, która uratowała więcej niż jedno dziecko.. Tknęło mnie. Oni wszyscy narażali własne życie, żeby pomóc ludziom, których często nie znali, czasami kochali, bywało, że lubili, ale zawsze widzieli w nich drugiego człowieka. Czy ja bym tak mogła? Co ja bym zrobiła? Była bym w stanie uratować czyjeś życie? Całą drogę powrotną nurtowały mnie te pytania.. Postanowiłam sprawdzić, jak dokładnie potoczyły się losy Pani Bagan. Jak to jest być bohaterką ludzkich serc.

Jeszcze w czasie drogi powrotnej poprosiłam o numer telefonu aby umówić się na spotkanie. Już tydzień przed wizytą zastanawiałam się co zrobię, o co zapytam, jak ten czas będzie wyglądał. Idę do Pani Zofii, na szczęście z przyjaciółmi z klasy, kolega z wymyślonymi na kartce pytaniami ja z nadzieją, że moje porywy na zawód dziennikarza nie są bezpodstawne i że będę potrafiła przeprowadzić mój pierwszy wywiad. Emocje, raczej czysty strach, sięga zenitu. Nadchodzi godzina X, stoimy pod starym, zniszczonym blokiem. Odpadający tynk woła o renowację. Otwieramy drzwi klatki schodowej. Uderza zapach stęchlizny, drewniane schody skrzypią pod

nogami ze ścian odchodzi błyszcząca farba która kojarzmy mi się ze szpitalem zupełnie nie wiedzieć czemu.. Pukamy do drzwi, otwiera wnuczek jednocześnie rozmawiając z kolegą, który stoi w przedpokoju. Witamy się, wchodzimy do dużego pokoju. W fotelu siedzi Pani Zofia widać, że przygotowywała się na nasze przybycie. Ubrana w białą bluzkę z okrągłym kołnierzykiem i perłowymi guziczkami oraz w długą szarą spódnicę. Na piersi lśni przypięty złoty medal zasług wojennych. Dla mnie nie wojennych tylko międzyludzkich. Wymieniamy uśmiechy, pękają pierwsze lody, zaczynamy rozmowę. „Jak to się stało, że do Państwa domu trafiło dziecko żydowskie?” Pani Bagan zapalają się iskierki w oczach, widać że opisywanie tamtych zdarzeń, mimo wszystko, sprawia Jej przyjemność. Zaczyna opowiadać. Specyficznie. Po swojemu. Językiem dziś już nieużywanym i uważanym za niepoprawny, co sprawia że przenoszę się do innego świata. Czuję się jak bym sama była Panią Bagan.

„Jest rok 1942, druga wojna światowa. Siedzę sobie w małym, drewnianym domku na rogu ulic Lubelskiej i Zamkowej w Bełżycach. Małe miasto na południu Polski, praktycznie wszyscy się znają. I nagle pukanie do drzwi. Mama delikatnie otwiera, wchodzi młode małżeństwo z malutkim dzieckiem w beciku. Słyszę strzępki rozmów „Prosimy”, „Ja nie wiem”, „Porozmawiam z mężem”, „Nie wiem czy uda nam się przeżyć”. Znów te parszywe słowa „przeżyć”, „obóz”, „śmierć”. Młodzi państwo wychodzą, a rodzice siedzą i się poważnie zastanawiają. Widać, że głęboko nad czymś myślą. Okazuje się, iż młodzi Państwo są małżeństwem Goldinger błagającym o zajęcie się ich córką przez wojnę. Mimo panującej sytuacji rodzice starali się nas chronić przed „sprawami dorosłych”, widzę to dopiero z perspektywy czasu. Później z opowieści Mamy dowiedziałam się, że sceptycznie podchodziła do pomysłu przygarnięcia tego maleństwa. Strasznie się bała o nas, przecież i mnie i moją siostrę i trzech braci mogli zabić. Jednak uległa wpływom Taty. Kiedy za trzecim razem Państwo Goldinger przyszli, Rywka u nas została, od tego czasu została nazwana Jagódką. Zwołane zostało rodzinne zebranie - rodzice i nas piątka. Zaczęło się tłumaczenie, że to jest dwumiesięczne dziecko, którego rodzice wcześniej tu mieszkali, ale zostali wydalen; że my się nim zajmujemy, i że mamy mówić, iż to dziecko cioci która zmarła podczas porodu. Tym sposobem z Rywki Goldinger - Żydówki, maleństwo stało się Jagódką Wiślicką - Polką.

W naszej miejscowości wszystkie wiadomości rozchodziły się w piorunującym tempie. Jakieś dwa tygodnie później urodził się mój brat, więc ludzie stali się podejrzliwi. Szczególnie, iż siostra Taty ze strachu biegła

po sąsiadach i nie rozważnie rozpowiadała informacje. Nie mogła sobie tego darować, twierdziła, że to Mama namówiła Tatę. Narzekła „Wzięli dziecko żydowskie na wychowanie, wszystkich nas zabija, nie tylko ich ale i nas dalszą rodzinę.. Co ona zrobiła?! Ona wszystkiemu winna!“. Ludzie w końcu nie wiedzieli co myśleć. Z jednej strony myśmy mówili, że to cioci dziecko, a z drugiej to co ta ciotka opowiadała. Poza tym Rywka była zupełnie inna niż my. Miała ciemne włosy, orzechowe oczy, ciemną karnację, a my wszyscy blondyni o niebieskich oczach. Ludzie w mieście podejrzewali. Na początku w 1942 jak jeszcze chodziłam do szkoły to dziewczynki takie uszczypliwe były. „Ale mama Twoja musiała być gruba, że dwoje dzieciaków się urodziło“ mówiły. Strasznie mi było przykro, pytałam się kto nauczył je tak brzydko mówić i odchodziłam. I dlatego jak Niemcy przyjeżdżali to nigdzie nie wychodziłam. Mama zawsze mówiła „Idź gdzieś do koleżanki czy coś“ ale ja ich nie lubiłam i nie szłam. Za to Mama zawsze wychodziła. Tatuś pracował 500 km od naszego miasta więc przyjeżdżał tylko w niedzielę. Młodsza siostra wychodziła do koleżanki i tylko ja zostawałam. No i dzieciaczki w kotyskach leżały jedno obok drugiego. To maleństwo było takie, że na ręce nie braliśmy, bo nie było potrzeby. Ona była nadzwyczaj spokojna, nawet mama często mówiła „Boże to dziecko chyba czuje w jakiej sytuacji się znajduje, takie ciche, spokojne“. Pamiętam jeden moment. Mama tylko powiedziała „Idź gdzieś do koleżanki, nie siedź w domu“ a ja nie poszłam i jeszcze tak odchyliłam firankę, póki mama nie wyszła i chciałam zobaczyć czy coś tam się dzieje. Mama na to „Zamknij firankę i odejdz od okna bo Niemcy jak zobaczą to strzelają i zabijają Cię“ bo Niemcy nienawidzili świadków. Pewnego dnia weszli do domu. Strasznie się bałam, schowałam się do drugiego pokoju. Wszedł taki wysoki żołnierz z czapka na głowie, w mundurze i z wąsem. Zaraz za nim przybiegł taki malutki i grubszy w takim samym mundurze ale bez czapki, miał jedynie mokre od potu włosy. Zobaczyli w domu tylko dwoje malutkich dzieci w kotysce kopiających się nóżkami. Ten wysoki spojrzął na niego i tylko powiedział „zwei kleine“ czyli dwoje małych. Wtedy zrozumiałam dlaczego Mama wychodziła i kazała nam wychodzić. Może miała nadzieję, że małych bezbronnych dzieci nie zabiją. Na pewno jednak wiedziała, że unikamy pytań i ewentualnej rzezi na całej rodzinie. Bała się o nas-swoją rodzinę. Bardzo nie chciała, żeby nam się coś stało. Chciała, żebyśmy żyli. Pamiętam też jak na samym początku wojny ogrodzili plac drutem kolczastym i kazali potem kopać Żydom w tym placu dół. Teraz tak sobie myślę ciekawe czy wiedzieli, że kopią własny grób? Później strzelali, wpychali do tego dołu i zasypywali. Wiadomo, nie każdego kula trafiła,

więc potem ta ziemia się jeszcze ruszała. Ten widok zapamiętałam do dzisiaj.

Kilka dni później przyszła według dowodu polskiego Zofia Wójcik, według moich aktualnych informacji Pola Gruber. Prosiła Mamę czy może zostać, mówiła: „Pani może i jednego kartofelka na dzień zjem, może i mniej. Może i nawet tego nie będzie, ale co będzie Wam to i mnie. Proszę niech pani się zgodzi, Pani ma kilkoro dzieci i te dwa maleństwa, Pani się zamęczycy, ja pomogę. Nic nie chcę żadnego wynagrodzenia tylko aby przetrwać przez wojnę.” Więc Mam nie miała serca odmówić i Zofia Wójcik też z nami zamieszkała. Widać było jak bardzo była nam wdzięczna. Pomagała Mamie we wszystkim, pierwsza wodę przynosiła, prała, sprzątała, zносиła moje uszczypliwe uwagi. Oj tak... Byłam dla niej trochę niemila, kiedyś mi nawet powiedziała: „Zosiu, Zosiu zobaczysz Ty jeszcze będziesz żałować, że się tak do mnie odzywasz”. Miała rację dzisiaj żałuję. Jak ja sobie przypominam to ona miała taką lniana spódnicę, z grubego lnu. Tak tkana i w talii, taka wąska, całe 2 lata w tej spódnicy przechodziła. I buraczkowy sweterek, i bluzeczkę, nie pamiętam już jaką i cały czas w tym ubraniu chodziła. I jak się ubrudziła to, jak myśmy poszli spać, to ona sobie przepierki robiła i suszyła, i na drugi dzień ubierała. I chustkę na głowie miała bez przerwy, lato i zima w chustce bez przerwy chodziła. A spódnica na kolanach to się przetarła i aż się sitko zrobiło bo Mama nie miała co jej dać i ona cały czas w tej spódnicy chodziła. A jak ktoś przyszedł znajomy, czasami jak ktoś z chłopców młodych przyszedł i zaczął żartować to ona się odwróciła i nie uśmiechała. I nie rozmawiała z nikim co by nie wyszło, że jest Żydówką.

Pamiętam jeszcze nasze Święta. Była choinka, pachnąca lasem, nie tak wymyślna jak teraz z lampkami i bombkami. Sami ozdabialiśmy to drzewko. Chodziło się do rolników i brało garstkę słomy, cięto się nożyczkami i robiło łańcuszki. Tak samo jak z kolorowej bibułki tylko wtedy były dużo mniej trwałe niestety, ale jak się pięknie kolorowo mieniły. To dlatego, że kolorowe papiery były tanie i można było to robić. Albo takie bombki się robiło, kwadrat się zginało i pociąć trzeba było, zawijało się ołówkiem i bombeczka była. Dziś jeszcze bym to robiła. Potem jak tylko pierwsza gwiazdka się pokazała, to siadaliśmy do wieczerzy. Mama przygotowywała takie racuszki drożdżowe na wodzie i kluski z makiem. Jak myśmy się zajadali. Wtedy było niestety ciężko o jedzenie w święta. Wszystko jednak było zgodnie z tradycją. Opłatek, życzenia, wolne miejsce przy stole. Ta Pani Zosia z nami jadła, nie modliła się, nie dzieliła się opłatkiem ale życzenia

składała. Te same co wszyscy, żebyśmy byli wolni, żeby się wojna skończyła, żeby zdrowie było, żeby przeżyć.

Potem jak się wojna skończyła, to Żydzi wyszli z ukrycia i z pełną radością pomaszzerowali prosto do nas. Musieli iść długą ulicą, polami, obok szkoły ale szli, z tą radością na twarzach, w przykasanych spodniach, zabrudzeni, z długimi brodami. Na końcu tej ulicy mieszkali ludzie, jacyś bliżej mi teraz nieokreśleni, zwykli sąsiedzi, jak to w małym miasteczku i oni przybiegli do nas tacy zadyszani i mówią „Pani Wiślińska! Idą Wasze Żydzi po dzieciaka” i oni się tak strasznie cieszyli, nie wiem dlaczego. Ale przybiegli z takimi uśmiechami jak by ich sama ta radość niosła do nas do domu. Potem oni przyszli, rodzice i ten dziadek, i ten wujek. Jak przyszli to Rywka akurat bawiła się z moja siostrą na dworze, Mama kazała mi ją zawołać. Pobiegłam, umyliśmy ją bo była zabrudzona w piasku, jak to dzieci, i daliśmy ją mojej Mamie na ręce. I moja Mama dała ją żydowskiej matce. A to maleństwo przyzwyczajone do naszej Mamy, wszyscy mówiliśmy do niej Mama to i ona Mama. Wykręciła się, zapłakała i wzięła Mamę za szyję. Był taki moment wzruszający, że ta matka właściwa, ta żydówka zemdląta. A ja nic nie rozumiałam, kręciłam się po mieszkaniu. Mama mówi tak do mnie „Przynieś przedziutko szklanekę wody”. A ja się pytam „cieplej czy zimnej” nie wiedziałam o co chodzi. Mama mówi - zimnej - ja przyniosłam szklanekę wody, mama zmoczyła rękę i pokropiła ją po twarzy. Ta odzyskała przytomność. Potem pojechali do siebie do Izraela. Zabrali ze sobą Zofię Wójcik, wtedy już Polę Gruber, nigdy potem Jej już nie zobaczyłam. Bardzo żałuję chciałabym Jej podziękować za cierpliwość i za szkołę życia jaka na Jej przykładzie przeżyłam. W końcu to Ona nauczyła mnie cerować. ”

Przyznam się, że się popłakałam. Nie wiem czy wzruszyła mnie opowieść czy sama postawa tych ludzi. Zrobili coś fantastycznego, uratowali ludzkie istnienia przed psychopatycznym mordercą, któremu niestety udało się zapanować nad częścią świata. Postanowiłam spełnić marzenie Pani Zofii i znaleźć Rywkę. Moje poszukiwania podzieliłam na dwa fronty. Najpierw chciałam znaleźć dom, w którym Pani Zofia mieszkała podczas wojny. Później zajęłabym się pisaniem do fundacji pomagających w odnalezieniu Żydowskich przyjaciół. Mogłam się opierać jedynie na informacjach, że rodzina Wiślińskich mieszkała w Beżycach, i na adresie na kopercie wystanej ze Stanów z zaproszeniem na uroczystości związane z wręczeniem Pani Zofii tytułu Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Postanowiłam najpierw się dowiedzieć czegoś więcej o przeszłości, żeby móc poszukiwać w teraźniejszości. Napisałam do wszystkich szkół w mieście, w którym przechowywano

malutką Rywkę z prośbą o pomoc, niestety w żadnym liceum, technikum, gimnazjum ani podstawówce jej nie uzyskałam. Miałam nadzieje, że chociaż członkowie kółka fotograficznego zrobią mi zdjęcia tego domku, jednak nawet to przerastało możliwości tamtejszej młodzieży. Chciałam tylko pokazać Pani Zofii dom jej młodości, też mam babcie więc wiem ile takie wspomnienia znaczą dla starszych ludzi. Stwierdziłam, że do trzech razy sztuka w komunikator internetowy Gadu-gadu wpisałam miejscowość zamieszkania Bełżyce i wysłałam wiadomość do wszystkich, którzy wyskoczyli mi na ekranie. Odezwała się jedynie dziewczynka o wdzięcznym pseudonimie "xxEwE-IInKaxx" i jakiś 20 letni chłopak, który studiuje w Lublinie. Jedno i drugie obiecało mi pomoc, na obietnicy niestety się tylko skończyło. Dziwnym trafem brat dziewczynki wyjechał razem z aparatem a student przez miesiąc nie był w rodzinnym mieście. No trudno stwierdziłam, że młodzi nie chcą pamiętać.

Zaczęłam więc podejmować próby spełnienia mojego drugiego postanowienia. Napisałam do The American Center of Polish Culture i dostałam odpowiedź, że oni niestety nie mogą mi pomóc i że mam zwrócić się z prośbą do The Washington Museum. Tam jednak mimo wielokrotności wysyłania maila nie otrzymałam żadnej odpowiedzi.

Jestem zdruzgotana. Nie wcale nie tym, że nie udało mi się znaleźć tej dziewczynki, teraz już dorosłej kobiety pewnie matki, może i babci bo będę jej szukać dalej. Tylko tym, że nikt nie chce albo po prostu nie pamięta. Nasza świadomość narodowa ginie w ten sposób, bo kto inny jak nie my - młodzież może podtrzymać informacje z pierwszej reki, od naszych dziadków i rodziców. Nie chodzi mi tu o polityczne gry na arenie międzynarodowej i oczekiwanie wiecznych przeprosin tylko o świadomość, że ludzie w naszym wieku potrafili się tak zachować. Stawali w obronie ludzi, tylko, a może aż dlatego, że byli ludźmi. Oni są bohaterami mojego serca, nigdy nie chciałabym stanąć na ich miejscu ryzykując nie tylko swoim życiem ale życiem ludzi mi najbliższych, których kocham. Dlatego trzeba pamiętać, żeby nigdy więcej nie popełnić takiego błędu - zbrodni i kaźni wśród współmieszkańców. Przecież historia jest nazywana nauczycielką życia tylko trzeba chcieć się uczyć na cudzych błędach i wiedzieć jakie one były.

Załączniki:

- korespondencja ze szkołami i z The American Center of Polish Culture;

Literatura:

- H. Human „ Historia Żydów w Europie Środkowej i Wschodniej”
- „ Studia z dziejów Żydów w Polsce” pod redakcją Z.Borzymińskiej
- A. Żbikowski „Żydzi”
- B.Engelking pod redakcją naukową F.Tycha „Pamięć. Historia Żydów polskich przed, w czasie i po Zagładzie”
- R.Szucha, P.Trojański „Holocaust. Zrozumieć dlaczego.”
- M.Berg "Pamiętniki z getta warszawskiego"

E-mail wysłany przeze mnie do: Zespołu Szkół nr 1; Zespołu Szkół nr 2; Technikum Mechanicznego; Zasadniczej Szkoły Zawodowej; Zespołu Szkół Technicznych,

Dzień Dobry!

Nazywam się Paulina Pietrzak i piszę historyczną pracę badawczą na temat ratowania dzieci w okresie holocaustu. W Państwa miejscowości podczas wojny rodzina Wiślińskich uratowała małą Rywkę Goldinger, zwaną w domu Jagódką. Bardzo bym była wdzięczna gdyby zechcieli mi państwo pomóc. Prosiłabym o pomoc w odnalezieniu aktu chrztu bądź metryki urodzenia Rywki bądź jej rówieśnika, syna Państwa Wiślińskich urodzonych prawdopodobnie w 1942 roku. Oraz bardzo prosiłabym o zdjęcia domu na rogu ulic Lubelskiej i Zamkowej albo/i plan topograficzny domu.. Byłaby strasznie wdzięczna gdyby ktoś z Państwa pomógł mi zgłębić historię. Z wyrazami wdzięczności,

Paulina Pietrzak

Dwa e-maile wysłane do The American Center of Polish Culture:

Dr. Kaya Mirecka Ploss  
The American Center of Polish Culture  
2025 O Street, NW  
Washington, D.C. 20036

9 stycznia, 2008

Szanowna Pani,

Jestem uczestnikiem projektu historycznego realizowanego przez II Liceum Ogólnokształcące im. Kazimierza Jagiellończyka w Elblągu. Moim opiekunem jest p. Maria Kubacka. Obecnie piszę pracę badawczą na temat ratowania dzieci w okresie holocaustu. Bardzo chciałabym odnaleźć Polę Gruber, która prawdopodobnie w latach 1942-1944 przebywała u rodziny Wiślińskich we wsi Bełżyce pod Lublinem; Rywkę Goldinger, która od urodzenia prawdopodobnie w 1942 roku do 1944 roku mieszkała również u rodziny Wiślińskich, a także jej rodziców Maszę i Szlomo Goldinger. Proszę o bliższy kontakt na numer faxu mojego liceum 0114855 2327344 lub na mój adres e-mail paulpietrzak@wp.pl w celu uzyskania niezbędnych mi informacji w możliwie jak najszybszym czasie, ponieważ na realizację pracy posiadam jedynie dwa tygodnie czasu.

Łączę wyrazy szacunku i mam nadzieję na dalszą współpracę,

Paulina Pietrzak

Dr. Kaya Mirecka Ploss  
The American Center of Polish Culture  
2025 O Street, NW  
Washington, D.C. 20036

10 January 2008

Dear Madam,

I am a participant of historical project, which is being realised by Kazimierz Jagiellończyk School in Elbląg. My protector is Mrs. Maria Kubacka. Currently I am working at research about rescuing children of holocaust. I want to find Pola Gruber, who survived in Wiślińscy family in Bełżyce village near Lublin, probably in years 1942-1944; Rywka Goldiner, who from birth likely in 1942 to 1944 dwelt also in Wiślińscy family and her parents Masza, Szlomo Goldiner. I will be very pleased if I get references about them. I beg to specific contact on number of my school fax 0114855 232 73 44 or on my e-mail paulpietrzak@wp.pl to get indispensable informations, in as rapidly period of time as it is possible because I have Only two weeks to finish this reserach.

With regards and hope for further collaboration,

Paulina Pietrzak

Otrzymana przeze mnie odpowiedź:

Od: Anna Schultz [librarian@polishcenterdc.org](mailto:librarian@polishcenterdc.org)

Do: [paulpietrzak@wp.pl](mailto:paulpietrzak@wp.pl)

DW: Monika Krol [director@polishcenterdc.org](mailto:director@polishcenterdc.org)

Data: Czwartek, 10 stycznia 2008 21:35

Szanowna Pani,

Otrzymaliśmy Pani maila o poszukiwaniu niezbędnych informacji dotyczących pewnych osób z czasu holokaustu. Niestety, muszę Panią powiadomić że nasza organizacja nie może Pani pomóc. Najlepiej byłoby gdyby Pani zwróciła swoją prośbę do Narodowego Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie. Podaje poniżej ich adres e-mailowy <http://www.ushmm.org/museum/contact/> i życzę wszelkiego powodzenia.

Anna Schultz

Bibliotekarz, Amerykańskiego Centrum Polskiej Kultury